

nie W
SZCZE —
PIONKĘ



Jakub
NOWAK



powergraph

Warszawa 2025

Copyright © 2025 by Jakub Nowak
Copyright © 2025 by Powergraph
Copyright © 2025 for the cover by Tomasz Majewski
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktorka prowadząca: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Filip Modrzejewski
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: Tomasz Majewski
Projekt graficzny i opracowanie wnętrza: Rafał Kosik

Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: +48 22 834 18 25
powergraph.pl
powergraph@powergraph.pl

Wyłączny dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
dressler.com.pl



ISBN 978-83-67845-81-6

Druk: Abedik Sp.j.
Printed in Poland, EU

„*Remember when* is the lowest form of conversation”
Tony Soprano

Bohaterowie tej książki cytują piosenki zespołów
Mad Season, Belle and Sebastian i N'Joy.

Mikołaj, koniec lat 90., czwartek

Tylko na nich popatrz, jak idą, przygięci upałem: dzieci czasu pięści i przymkniętego oka.

Chłopak i jego młodszy brat brną przez miasto, w milczeniu i z mozołem, przecinają kolejne blokowiska, parkingi i place zabaw. Sierpniowe słońce wygląda jak wewnątrz delicii, kiedy osuwa się w nagrzaną beton za ich plecami, ściany wieżowców ani drgną. Bracia wzięli z domu po pół słonecznika na drogę.

Chłopak ma na imię Mikołaj. Jego brat ma na imię Kamil.

Wychodzą z miasta i ruszają pełną dróżką obok niszczonego kłosa szpitala, którego budowę przerwano dawno temu. Stopy chłopców wzbijają kurz ponad suchą łąką, w której szaleje maciupkie, bzyczące życie. Promienie słoneczne lepią się do chłopiących przedramion, bracia pocą się nieśmiertelnością. Łupinki słonecznika i komary, ich skromne trajektorie krzyżują się.

Myślisz, że będzie Patrycja, odzywa się wreszcie chłopak, że przyjedzie potem na skwer?

Patrycja, powtarza brat. Nie wiem, czy Patrycja przyjedzie potem na skwer. Masz pieniądze dla Nika?

Chłopak uśmiecha się przez chwilę.

Pieniądze, mówi, to brzmi tak bardzo poważnie.

Brat aż się zatrzymuje. Rzuca w trawę wyskubany słonecznik.

Ty nie masz pieniędzy dla Nika.

Kiedy masz siedemnaście lat, przywykasz, że w każdej chwili mogą ci zrobić krzywdę. Zazwyczaj to nic osobistego.

No chodź, chłopak ponagla brata i idą dalej.

Ty nie masz dla niego pieniędzy, brat kręci głową i wierzchem dłoni wyciera pot znad górnej wargi. Jest wysoki i wiotki, kiedy idzie, kołysze się lekko, jego stawy poddają się ciepłym podmuchom, które gonią ich, odkąd wyszli z miasta.

Niko cię za to, człowieku, zatłucze. Mikołaj, powiedz mi, dlaczego nie masz tych pieniędzy?

Chłopak czerwieni się.

Pomyliłem rubryki w kalendarzu. Zaznaczyłem, że mam zapłacić w czwartek za tydzień, a nie dzisiaj. Trudno spamiętać to wszystko.

A co ty masz do pamiętania w wakacje, Mikołaj?

Wszystko, odpowiada cicho chłopak i nie mówi nic więcej.

Stefanka to knajpa w baraku stojącym przy pętli autobusowej, z kilkoma plastikowymi stolikami w środku i stołem do ping-ponga na zewnątrz, na którym nikt nigdy nie gra. Papierosowy dym sący się przez wypaczone okno. W środku jest ciasno i czuć potem, za ladą stoi kobieta, u której mężczyźni ze wsi zamawiają wódkę na kieliszki i kanapki z salcesonem. Telewizor pod sufitem pokazuje bezgłośnie serial o agentach FBI i UFO.

Dzieciaki z miasta, stłoczone przy najmniejszym stoliku, piją piwo z sokiem, palą L&M-y i czekają na braci. Cyprian, Miller i Monika.

To te buty.

Tak, to te buty.

Cyprian wyciąga szyję, zajebiste. Tylko dlaczego wcześniej w nich nie wychodziłeś?

Dasz mi chusteczkę, chłopak prosi Monikę i starannie wyciera obuwie z kurzu.

Reebok kamikaze 2, recytuje. Oszczędzałem je, mówi chłopak, szkoda mi ich tak na co dzień na osiedle.

Grałeś w nich już?

One nie są do grania.

Jak to? To są buty do grania, człowieku.

Tylko raz w nich byłem, mówi chłopak, w kościele.

Siada na krześle bokiem do stołu i zakłada stopę na kolano, by wszyscy widzieli wyraźnie. Oczy lśnią mu w kłębach dymu.

Artefakt z obcego porządku, technologia o większej gęstości, która inaczej odbija światło. Granatowy but przecięty przez biały zygzak, piktogram oznaczający dynamikę i umiejętności, guma piszcząca na lśniącem parkiecie, refleks kalifornijskiego słońca na obręczy. Chłopak ubrany jest w szorty i jego szczupła łydka ginie w bulwiastym, jakby zbyt dużym obiekcie. Reebok kamikaze 2. Dzieciaki patrzą i wiedzą, że to jest piękne, i może nawet chciałyby dowiedzieć się, jak pachnie skóra, z której te buty zostały uszyte.

Kobieta za barem kaszle, pochylona nad krzyżówkami, jej twarz ma tę samą fakturę, co pokryte styropianową tapetą ściany. Dzieciaki bywają tu często, lecz kobieta jest dla nich zbyt stara, by zapamiętały jej imię czy nazwisko.

Cypku, mówi chłopak i krzywi się w sposób zrozumiały tylko dla dzieciaków przy stole.

Wiesz, gdzie ja mam twoje „Cypku”, mruczy Cyprian, lecz podnosi się, odgarniając długie włosy za uszy.

Jest trochę otyły i bardzo przystojny. Patrzy na reeboki chłopaka, a potem na swoje adidas, po które pojechał do sklepu w większym mieście, po czym odchodzi do baru.

Ej, woła po chwili do dzieciaków, autor *Dział Navarony*, do krzyżówki.

Barmanka patrzy wyczekująco. Wzruszają ramionami.

Cyprian wraca z dwoma szklankami piwa z sokiem, które stawia przed braćmi.

Myślicie, pyta chłopak, że Patrycja będzie dzisiaj na skwerze?

Niko cię szukał na osiedlu, mówi Monika.

Dłoń z piwem zatrzymuje się w pół drogi do ust.

Szukał mnie?

Mówiłam, że przyjdiesz na skwer, dodaje Monika.

Chłopak powoli upija łyk.

Dajcie mi papierosa, mówi.

Mikołaj, ty już nie palisz, mówi jego brat.

Rzeczywiście, nie palę, odpowiada chłopak z roztar-
gnieniem.

Miller chichocze.

No to sprawdźmy, czy będzie Patrycja.

Cyprian wyciąga z kieszeni komórkę, wybiera numer i puszcza komuś strzałę, a następnie odkłada telefon na plastikowy blat.

Cyprian, weźże, szepcze chłopak.

Masz te pieniądze dla Nika? Miller bezwiednie dotyka palcami twarzy w miejscach, gdzie rosną pryszcze.

Wtedy alcatel Cypriana dzwoni przez chwilę, po czym milknie. Cyprian szczerzy się i oddzwania. Wyrzuca z siebie pytanie, będziesz dziś na skwerze, jak najszybciej, jakby to była jedna sylaba, i się rozłącza, uśmiechnięty. Dzieciaki przyglądają się w oczekiwaniu.

Alcatel znowu się rozdzwania, a Cyprian pozwala mu dzwonić, drugi, trzeci, czwarty dzwonek. Gwar w baraku cichnie i mężczyźni podnoszą głowy. Dzieciak jako jedyny ma tu komórkę.

Słowo daję, mruczy Monika, ktoś ci ją w końcu zapierdoli.

Cyprian odbiera i po chwili rozłącza się.

Patrycja będzie, obwieszcza.

Chłopak kiwa głową.

Mikołaj, masz te pieniądze dla Nika, powtarza pytanie Miller.

No właśnie nie mam, odpowiada chłopak.

Dzieciaki nie wiedzą, czy żartuje, więc wybuchają śmiechem, na wszelki wypadek, a potem długo dyskutują o magicznych mieczach i obrażeniach zadawanych bestiom z gier, i o efektach specjalnych w teledyskach z MTV, i nawet o tym, że ktoś ukradł rakietę ziemia–powietrze z fabryki amunicji, w której pracują ich rodzice. Gadają o tych wszystkich rzeczach, traktując je jak równie realne, dopóki barmanka nie wygania wszystkich znad pustych szklanek. Wychodzą w noc, która pachnie tak, że aż kręci im się w głowach.

MacLean, mówi pod nosem Monika. Ten autor *Dział Navarony*.

To czemuś nie powiedziała?

Bo jej nie lubię, uśmiecha się dziewczyna.

Zobaczcie, Miller schyla się po coś pod stołem do ping-ponga. Dwa dobre jabłka. Chcecie?

Kiedy kręcą głowami, że nie chcą, Miller ogląda się na bar Stefanka i po chwili wahania chowa owoce do plecaka, na którym niebieskim tuszem wymalowane jest: Love Peace Noise.

Poczekajcie, pójde jeszcze do kibla, mówi i wraca do baraku.

Pamiętacie, zaczyna cicho Cyprian, jak kiedyś zimą, za małolata, spadł śnieg i całe osiedle wyszło robić bałwany? I potem w nocy jechałem z tatkiem zamknąć sklepy i widziałem, jak Miller wyjmuje marchewki z tych bałwanów, zbiera do reklamówki i niesie do domu.

Jezu, Cypek, Monika przewraca oczami, ileż razy możesz to opowiadać.

Dziewczyna odwraca się do Mikołaja.

A Niko to nie przychodzi do ciebie na matkę?

Przychodzi, odpowiada chłopak, w soboty. Robimy zadania już na czwartą klasę. On, zaczyna chłopak ostrożnie, chciał mi płacić, ale przecież nie będę brał od niego pieniędzy. Osiem lat chodziliśmy do jednej klasy.

Miller dołącza do dzieciaków.

Dasz mi fajkę?, pyta Monikę.

Cyprian ci da fajkę, odpowiada dziewczyna. Tak myślałam, Monika mruży oczy, że się wrócisz i jej powiesz, że to MacLean.

Miller uśmiecha się i pierwszego macha wydmuchuje prosto w gwiazdy. Sierpniowa noc smakuje dymu z papierosa i rozrywa go.

Dzieciaki są razem, mogą wracać do miasta. Nie zapamiętają tej chwili, lecz emocja, silna i dyskretna, wnika głęboko w ich serca, by w przyszłości współtworzyć to, kim mają się stać. Jej ślady odkrywać będą po latach, we włosach i na opuszkach, to będzie powidok, który rozbudzi tęsknotę za czymś, o czym nie da się opowiedzieć, być może tylko za pokrzepiającym byciem w miejscu, które bywało niedobre. Dziwny i nieścisły stan, którego wtedy, nieco pijani jednym piwem, wypitym w barze Stefanka, nie odważyliby się nawet w rozbieganych nastoletnich myślach nazwać młodzięcżą przyjaźnią.

Tej samej nocy dzieciaki patrzą na kobietę, która na czworakach wspina się na górkę. Na szczycie wzniesienia rośnie samotna śliwa, jedna z blizn po martwych gospodarstwach, które zostały w mieście między blokami. Kobieta ma na sobie garsonkę w kolorze cienia, w dłoni ściska papierową torbę. Dzieciaki znają kobietę z liceum, uczy ich fizyki. Nauczycielka wczołguje się na górkę i wpełza w cień śliwy, gdzie wciąż na leżaco, zaczyna zbierać owoce w trawie. Dzieciaki patrzą po sobie.

Widzieliście?

Miller wchodzi na górkę. Schyla się po coś po drodze i pokazuje dzieciakom, które patrzą w milczeniu.

Zgubiła pani portmonetkę, mówi Miller.

Kobieta obraca się.

Portmonetka, powtarza Miller i podaje ją leżącą nauczycielce, po czym wraca do dzieciaków. Odchodzą bez pożegnania i żadne z nich się nie ogląda. Myślą o jabłkach w podpisanym plecaku.

Nadal jest gorąco i miasto nie zasnęło jeszcze, samotne auta rozmazują po ulicach ciepły smród. Dzieciaki mijają odrapane fasady bloków, wymalowane w mrówki The Prodigy, ukoronowany RTS Widzew, krzyże celtyckie i swastyki. Ponad ich głowami świecą równe piksele okien. Dzieciaki, ta piątka i wszystkie pozostałe, przejęły miasto, jak każdej nocy w lecie, i teraz każda studzienka jest ich, każda ławka i poręcz przy schodkach, każda kamienna donica, w której rośnie dzika róża, wszystkie sfatygowane deski każdej z piaskownic, wszystkie drzwi do klatek schodowych i puste gniazda lamp nad tymi drzwiami, ze zbitym kloszem i bez żarówki, jak miejsca po wybitych zębach, każdy domofon ze stopionymi przyciskami i każda metalowa skrzynka z czaszką i pieszczelami,

każde nie dotykać! urządzenie elektryczne. Dzieciaki biorą sobie te wszystkie miejsca, bo są do wzięcia. Dorośli oddają je bez walki, bo kto by, kurwa, chciał się o coś takiego szarpać.

Dzieciaki idą na skwer, do innych, takich jak one. Ktoś woła za nimi z mroku.

Przystają, patrzą po sobie, czekają. Tamci podchodzą we dwóch, mają długie włosy i koszulki z metalowymi zespołami. Jeden ma okulary z grubymi szklami, drugi trzyma foliową torbę, w której brzęczą butelki z piwem. Dzieciaki kojarzą ich z osiedla, byli kilka klas wyżej w tej samej podstawówce. Na tego w okularach wołają „Biskup”.

Biskup wita się z Cypkiem i pyta o fajki.

Cyprian go częstuje.

Ale masz dwie ostatnie, mówi Biskup.

W porządku, odpowiada Cyprian.

To ja już wezmę z ramą może, mówi Biskup i Cyprian kiwa głową.

Dzieciaki rozglądają się. Pusto na tej ulicy i cicho.

Dobra koszulka, mówi Biskup.

Cyprian ma na sobie bordowy tiszert z twarzą Jezusa, w którego czoło powbijane są gwoździe.

Ceremonia sprzeczności, mówi Biskup, pokazując napis na koszulce.

Tak, odpowiada niepewnie Cyprian.

Wyskakuj z niej, mówi Biskup.

Słucham?

Wyskakuj z niej, mówię.

Cyprian kręci głową. Ogląda się na dzieciaki. Biskup bije go w twarz, otwartą dłonią, mocno. Dzieciaki podskakują, zaskoczone, a ulicą niesie się głośny trzask. Cyprian zatacza się i musi przytrzymać ściany. Chowa głowę nisko i obserwuje Biskupa.

Wyskakuj z niej, grubasie.

Serca dzieciaków łomoczą. Chłopak czuje, jak wilgotnieją mu oczy i wstydzi się tego.

Ej, mówi Monika, nie lejcie go.

Nikt nie rusza się z miejsca. Cyprian prostuje się powoli i po jego olbrzymich oczach widać, że nie ma pojęcia, co robić.

Chłopak myśli o przedmiotach, z których go krojono. Był w pierwszej klasie podstawówki, kiedy starszy uczeń podszedł do niego i oznajmił, że przypinki są w szkole zakazane, po czym wypiął mu z mundurka nową, z Johnem Rambo, i odszedł. Kilka lat później, kiedy pożegnawszy nauczycielkę, wracali przez miasto ze szkolnego rajdu, z knajpy wyszło kilku mężczyzn. Jeden z nich po prostu zdjął mu z głowy czapkę z logo New York Yankees i wrócił do baru. Chłopak zapamiętał ich twarze na zawsze i przyglądał im się, kiedy potem mijał ich na ulicy, o czym oni nie mieli pojęcia.

Kurwa, no, popędza Cypriana Biskup.

Cypek już się nie cofnie, ma za sobą ścianę.

Dobry wieczór, mówi ktoś za ich plecami i wtedy świat zatrzymuje się i czeka, aż Niko przejdzie przez ulicę.

Za Nikiem, jak zawsze, idzie Piotruś. Niko i Piotruś przybijają piątkę z tymi dwoma, którzy tylko patrzą po sobie. Potem witają się z Cypkiem i braćmi. Mają na sobie dresy i adidasy. Dres Nika jest biały i z grubego ortalionu, taki z czerwonymi zatraskami wzdłuż lampasów na nogawkach.

Już w porządku, przerywa ciszę Niko, lecz oczy Cypriana nie potrafią się uspokoić.

Biskup milczy, zarumieniony, i nie spuszcza z Nika wzroku.

Cześć, Monika, mówi Piotruś do dziewczyny, co słychać?

Stare kurwy nie chcą zdychać, odpowiada Monika i Piotruś się do niej szczerzy. Jest zarośnięty i masywny, jakby ktoś wypchał go woreczkami z grochem, używanymi na lekcjach wuefu.

Dałem Samaela do posłuchania mamuśce, Niko wskazuje na koszulkę Cypriana. Podobało jej się, powiedziała, że taka będzie opera w dwudziestym pierwszym wieku.

Chłopak dostrzega ruch w oknie na parterze, jakiś dziadek obserwuje ich zza firanki w kuchni.

Niko mówi do Biskupa, że odwiedzi go jutro, żeby mu wypalił gry, a potem żegna się z nimi i metale odchodzą.

To odważne chłopaki, mówi dzieciakom Niko, kiedyś w kiblu w Jubilatce żeśmy przystawili Biskupowi pistolet do głowy. Niby tylko gazówka, ale nie wiedział na sto procent, a nawet jeśli, to lufa jest lufa, co nie. Dojechaliśmy go w kabinie i pistolet na czoło, a ten zdjął te swoje bryle i mówi: myślisz, że nie celowali już do mnie wcześniej?

Było nacisnąć, mruczy Cyprian.

Niko uśmiecha się w odpowiedzi.

Dziękuję, Niko, dodaje cicho Cyprian.

Będzie mi, cymbał, kolegów z osiedla kroił.

Ej, na co się, kurwo, gapisz, wykrzykuje nagle Piotruś do obserwującego ich starca, ukrytego za firanką, może mam wejść tam do ciebie, kurwa, czy co?

W kuchni gaśnie światło i Niko odwraca się do dzieciaków.

Idziecie do domu czy na skwer?

Siwa, 2025

Przyszła ich setka, głównie mężczyźni, a ja wychodzę im naprzeciw i czuję, że jestem całkiem sama. Stoję prosto i patrzę im w oczy, pewnie każdy tutaj jest wyższy ode mnie. W półmroku sali zlewają się w jedną istotę, lśniąca od potu i bardzo namacalną.

Gasną światła i robi się cicho. Woda kapie z nisko zawieszonego sufitu. Słyszę ich oddechy i moje bijące serce. Pieką mnie policzki i czuję, że zrobiły się czerwone.

— Dobry wieczór — mówię do mikrofonu i słyszę własny głos, który spotęgowany, odbija się od ścian piwnicy i wraca, jakby przedrzeźniały mnie duchy. — Jesteśmy Skis, gramy hardcore punk i was kochamy.

Przed pierwszym krzykiem wracam do chwili, w której kazano mi pocałować martwego człowieka. Kiedy stojący za mną zespół gra otwierający akord, wrzeszczę i rzucam się w tłum.

Kiedy tak mówię, że jesteśmy Skis i że ich kochamy, wcale nie kłamię, bo jestem tu dla nich i myślę o nich przez cały czas. Śpiewam i krzyczę, tańczę dla nich i z nimi, odbijam się od ich ciał, śpiewam i krzyczę, i tańczę, a moja dłoń, która ściska mikrofon, uderza mnie czasem

po brzuchu i po udzie, uderza mnie w skroń, i nawet zdarza jej się uderzyć kogoś z nich, kiedy tak śpiewam o krzywdzie i godności, kiedy wywrzaskuję im miłość. Czasem oni śpiewają ze mną, dzielimy się mikrofonem i wtedy czuję, jak pachną, bo wszyscy pachniemy, mocno i pięknie, w tej dusznej piwnicy. Kiedy słyszę, jak śpiewamy razem, zachrypnięci i nierówno, czuję, jakbym unosiła się pod sam wilgotny, pokryty grzybem sufit.

Jesteśmy Skis i tej nocy gramy tylko dla nich. Śpiewam i tańczę, a piosenki, które napisałam dwadzieścia lat temu, znowu stają się wspólne.

Otwieram oczy i widzę, że klęczę, a na posadzce są krople krwi. Podrywam się, nie mając pojęcia, czy to moja. Tu jest jak w saunie, włosy lepią mi się do twarzy, koszulkę i džinsy można by wyjąć. Podrywam się i proszę ich, by uważali na siebie nawzajem.

Jesteśmy Skis i gramy hardcore punk. Kocham ich i mam im do powiedzenia to wszystko, czego nie odważyłabym się powiedzieć inaczej niż do mikrofonu, lecz moi ludzie poganiają mnie, startują z kolejnymi numerami. To nasza noc, naszej muzyki i moich opowieści. Opowieści to magia.

Przed ostatnim numerem muszę odkaszlnąć i wypluć, rozcieram to trampkiem po podłodze i zataczam się wtedy ze zmęczenia.

Opowieści wyczarowują wspólnotę, tych, którzy mówią, i tych, co słuchają.

— Dziękujemy — chrypię do nich na pożegnanie. — Byliście najwspanialsii. Dobrej nocy.

Wspólnota, choćby najbardziej nietrwała, tylko na czas snucia opowieści.

Ktoś włącza światło. Biją brawo i gwizdzą, przybijam z nimi piątkę.